Wydawnictwa rok VI
Dnia 7 października 1928 r.

Nr. 266

Bezpłatny dodatek niedzielny dziennika „Głos Prawdy"

GŁOS PRAWDY

Organ Radykalizmu Polskiego

TYGODNIK

Od Polski Wyzwolonej do Polski Odrodzonej

PRZED WIELKIM SEJMEM PISARZY POLSKICH

Redakcja: Warszawa, ul. Szpitalna 1, tel. 282-54. Administracja: Warszawa, ul. Nowy-Świat 22, tel. 283-62

NIEDYSKRECJE

RADA NACZELNA P. P. S., wziąwszy się pod rękę z niedawnym swym wrogiem, Drobnerem, obradowała burzliwie przez dwa dni, obdarowując partję rezolucjami opozycyjnemi. Pomijając charakter samych rezolucyj, omówionych już obszernie na innem miejscu, należy zdać sobie sprawę, że — jak zawsze — tak i teraz tarcia pomiędzy trzema kierunkami tendencyj w partji nie ustały, jeśli się nawet nie wzmogły. Broszura R. Minkiewicza była niewątpliwie przeznaczona do odegrania roli dynamitu dla życia partji. Miała ona ułatwić lewicującym czynnikom w partji pozbycie się ludzi, niewygodnych a bez krzyku, że pozbycie odbywa się na tle rozbieżności opinji w stosunku do spraw państwowych i stosunku naczelnych władz partyjnych do całego obozu państwotwórczego. I należy zapisać na dobro tej części partji, która wywodzi się z dawnego obozu niepodległościowego, a którego pozbyłaby się chętnie lewica, że dyscyplinę partyjną utrzymała, nie pozostawiając sztandaru zasłużonej w walce o Polskę i demokrację partji w ręku ludzi, mających z tradycją tą niewiele wspólnego. Tendencje przeto zerwania z obozem państwotwórczym w P. P. S. ujawniają się w tym samym czasie, gdy w społeczeństwie umacnia się i rozszerza wielki ruch zjednoczeniowy pod sztandarem Komendanta, gdy nawet rozbita i skłócona dotąd wieś polska staje pod tym sztandarem, z hasłem podniesienia kultury i gospodarki wsi, pracy pozytywnej dla realnych zagadnień i potrzeb. Deklamatorska frazeologja przywódców lewicy P. P. S. pragnie święcić tryumfy i uwodzić masy w czasie, gdy cała troska skierowana być winna na wytworzenie w Polsce nowego typu działacza społecznego, pracującego nad budowaniem rzeczywistości polskiej, a nie umiejącego o niej tylko mówić!

***

BROSZURA R. MINKIEWICZA wywołała sporo polemik i odpowiedzi. Najsilniejszą jednak odprawą dla odkrywcy, często płonnych i nieistniejących, a w każdym razie dawnych czasów sięgających, przewinień był protest podpisany przez 34 organizacje i związki inteligencji P. P. S. oraz szereg wybitnych działaczy socjalistycznych, jak Daszyńskiego, Bobrowskiego, Downarowicza, Malinowskiego, Próchnika, Prausową, Szpotańskiego, Smulikowskiego, Ziemięckiego i w. i. Nie wchodzimy w treść sprawy, chodzi jednak o to, komu i dlaczego zależało właśnie teraz przed Radą Naczelną i Kongresem P. P. S. na „rewelacjach" p. Minkiewicza? Czyżby działała tu ta sama tendencja, która doprowadziła do wzmocnienia lewego skrzydła przez o zgoła niedwuznacznem obliczu „socjalistów niezależnych" ? Próba postawienia dawnych niepodległościowców-socjalistów poza nawiasem partji schodzi się dziwnie blisko z przyjęciem na łono P. P. S. niezależnych, nie wnoszących przecież z sobą ani chęci ani temperamentu w „obronę" parlamentaryzmu i demokracji. Rada Naczelna uczyniła nietylko akt kurtuazji, pozwalając na dłuższą przemowę antyparlamentarną tow. Drobnera, — uczyniła licencję która stwarza precedensy i niesie z sobą konsekwencje niezbyt dziś pożądane dla P. P. S., która proklamować pragnie walkę z komunizmem i która przez najwyższy punkt wewnętrznego kryzysu jeszcze nie przeszła.

***

IDEA ZJEDNOCZENIA RUCHU LUDOWEGO pod sztandarem Józefa Piłsudskiego, idea pracy kulturalnej i gospodarczej na wsi bez partyjnego patronatu, niepokoi ogromnie narodowych demokratów. Bo oto jeden jeszcze monopolik wymknął się z rąk endeckich. Starają się więc pisemka endeckie pomniejszyć znaczenie poszczególnych przejawów tego ruchu. I tak, gdy w Inowrocławiu poseł Michałkiewicz, znany ze swej pracy na Pomorzu i Wielkopolsce wyraźnie podkreślił konieczność konsolidacji prac na wsi z poczynaniami obozu państwotwórczego, endecka „Gazeta Warszawska" co prędzej pospieszyła z twierdzeniem, iż na fakcie, że tam gdzieś w Inowrocławiu jakiś były piastowiec nawołuje do współpracy, — niczego opierać nie można. Bo gdzieżby znowu cośkolwiek mogło być uznane i słuszne i prawdziwe, co nie ma pieczęci endeckiej! Gdyby p. M. powiedział: łączcie się z endekami! — to choćby nikt nic na to nie odrzekł, a mówca na sobie poniósł zapach zgniłych produktów drobiu, — „Gazeta Warszawska" opiałaby ten głos, jako akt niesłychanej doniosłości i wielkich przemian. Tak do klęsk i bankructwa przykro się przyznać — nawet przed sobą samym. Na to trzeba mieć cywilną odwagę i poczucie godności!

***

ZWIĄZEK POMIĘDZY EWAKUACJĄ NADRENJI A SPRAWĄ BEZPIECZEŃSTWA POLSKI jasno ujął i głęboko zanalizował p. poseł dr. Graliński, członek delegacji polskiej w Genewie, w wywiadzie, udzielonym agencji „Press". Słusznie podnosi on znaczenie momentów psychologicznych w sprawie bezpieczeństwa, a właśnie z tego punktu widzenia nastroje panujące wśród wielkiego odłamu społeczeństwa niemieckiego — że przypomnimy tu ostatnie manifestacje nacjonalistyczne — winny nas usposobić do wyjątkowej czujności. Każdy zdrowo myślący polityk musi zgodzić się z tem, że okupacja Nadrenji jest tylko środkiem wywołanym koniecznością, że nie można na niej budować pokoju Europy. Pogląd ten wyrażaliśmy niejednokrotnie w sposób dobitny. Lecz z drugiej strony, niema również bezstronnego obserwatora sytuacji europejskiej, który nie uznałby słuszności następujących wywodów posła Gralińskiego: „Bezpieczeństwo polskie — ciągnął dalej pos. Graliński — prócz tej materjalnej gwarancji, jaką stanowią rozbrojenie Niemiec i okupacja Nadrenji, jest oparte na szeregu umownych gwarancji, jak PAKT Ligi Narodów, umowy locarneńskie i Pakt Kelloga. Należy się zastanowić, czy są one wystarczające? Odpowiedzieć musimy, niestety, odmownie gdyż te wszystkie umowne gwarancje nie dają całkowitej rękojmi bezpieczeństwa Polski. Pakt Kelloga, który stanowi ogólny pakt nieagresji, a więc zawiera również wyrzeczenie się agresji ze strony Niemiec w stosunku do Polski, nie wszedł dotąd w życie, a kiedy wejdzie stanowić będzie dopiero pierwszy etap należytego bezpieczeństwa, gdyż nie zostały uchwalone sankcje na wypadek ich pogwałcenia. W dziedzinie bezpieczeństwa duże znaczenie odgrywają momenty psychologiczne, nastrojowe. Jeżeli do jakiegoś społeczeństwa w całości ma się zupełne zaufanie, wówczas wszelkie gwarancje traktatowe są drugorzędne, jeżeli zaś tego zaufania nie ma w całości, a ponadto nie widzi się, aby przeważającej części tego społeczeństwa zależało na jego pozyskaniu, to społeczeństwo to nie może się dziwić, że Polska dla zapewnienia swego bezpieczeństwa musi się domagać zamiast istniejącej w tej chwili gwarancji jaką jest okupacja Nadrenji, innych dostatecznych zapewnień. Ewakuacja Nadrenji — oświadczył pos. Graliński — będzie niejako stwierdzeniem, że traktat wersalski został w zupełności wykonany, i że w myśl jego założeń Polska została zabezpieczona przed napaścią, a tak przecież jeszcze nie jest w rzeczywistości. Uważam więc, że uzyskanie przedterminowej ewakuacji Nadrenji winno pociągnąć za sobą taką zewnętrzną manifestację pokojowej woli Niemiec, mającą charakter prawno - państwowy, któraby dawała rękojmię zgodnego i trwałego współżycia między Polską a Niemcami. Za punkt wyjścia możnaby uważać zawarcie pewnych umów, których projekty zostały opracowane przez Komitet do Spraw Arbitrażu i Bezpieczeństwa i które to umo-

wy zostały zalecone członkom Ligi Narodów przez obecne Zgromadzenie, jako środek zwiększający bezpieczeństwo międzynarodowe".

„Okupacja Nadreńji w ogólnej strukturze traktatu wersalskiego pomyślana była jako gwarancja wykonania jego postanowień, a więc przedewszystkiem w dziedzinie rozbrojenia i reparacji, nadto, co wyraźnie wskazuje art. 429 ustęp ostatni traktatu wers. — jako gwarancja przed napaścią Niemiec na którekolwiek z państw sprzymierzonych i stowarzyszonych. Polska jest bezpośrednio zainteresowana w omawianiu zagadnienia zniesienia okupacji Nadreńji, gdyż ma wszelkie ku temu tytuły do traktowania tej okupacji jako jednej z ustalonych przez traktat materjalnych gwarancji swego bezpieczeńswa. Niemcy więc, które tak wielką wagę przywiązują ostatnio do idei arbitrażowej oraz rozbrojenia. zarówno materjalnego jak i moralnego, winny pierwsze wykazać inicjatywę w myśl tezy posła Gralińskiego, jeżeli istotnie przedterminowa ewakuacja Nadrenji ma być dokonana bez zachowania równowagi europejskiej i bez niebezpieczeństwa dla naszych granic. Jak dotychczas, nic nie świadczy o tem. że demokratyczna opinja niemiecka uświadamia sobie tę prawdę. Przeciwnie, zdaje się ona lekceważyć potężne jeszcze czynniki reakcji własnej, które są żywem zaprzeczeniem pacyfistycznych popisów pp. Müllerów i Bernsdorffów na terenie genewskim.

***

DWA ZJAZDY największych stronnictw brytyjskich. — konserwatystów i Labour Party, zainaugurowały „otwarcie sezonu politycznego" w Anglji. Znaczenie obecnych kongresów partyjnych jest tem bardziej doniosłe, iż wobec nadchodzących wyborów do parlamentu, mają one za zadanie ustalić platformy wyborcze, skoordynować działalność zwalczających się w łonie poszczególnych partyj kierunków. aby wystąpić przed wyborcą jednolicie i zwartym frontem dążyć do zwycięstwa. To też na czoło obrad kongresowych wysunięte zostały sprawy, które w agitacji przedwyborczej stanowić będą hasła naczelne. Rządzący torysi debatowali więc w Yarmouth nad zaletami protekcjonizmu z punktu widzenia samoobrony przemysłowej, nad doniosłością ceł ochronnych, zwalczając silne i z głębi mas ludowych płynące prądy za utrzymaniem wolnego handlu. Nawet w łonie rządu poglądy, dotyczące utrzymania ceł ochronnych, któreby zdaniem ich zwolenników, zcementowały metropolję z dominjami pod względem gospodarczym. — nie są jednolite i — jak wykazał zjazd w Yarmouth — konserwatyści dalecy są jeszcze od ostatecznego ustalenia swych haseł wyborczych. Premjer Baldwin, który w roku 1923 potknął się już był o protekcjonizm, wykazuje obecnie zdwojoną ostrożność. — Socjaliści natomiast, którzy rosnące swe wpływy podkreślają przez zwołanie swego kongresu do twierdzy konserwatyzmu brytyjskiego — Birminghamu, bez trudu doszli do porozumienia, niemal jednogłośnie przyjmując platformę wyborczą Zarządu Labour Party. Przynętą dla miljonowych rzesz robotniczych, dla radykalnego mieszczaństwa i pracującej inteligencji mają być nakreślone w programie wyborczym zasady pokojowej polityki zagranicznej. zerwanie morskiego układu anglo - francuskiego, ewakuacja Nadrenji, powszechne rozbrojenie i t. p. Regjonalizmowi na lep rzucono hasło utworzenia sejmów krajowych w Szkocji i Walji, zradykalizowane zaś masy bezrobotnych, (których ilość jest tak wielka, iż — jak to dosadnie określił Snowden — ustawieni w jednym szeregu zajęliby linję długości tysiąca kilometrów). pociągnąć mają za sobą hasła socjalizacji i nacjonalizacji, dotyczące w pierwszym rzędzie górnictwa. transportu, finansów (banki) i asekuracji. Jednocześnie zjazd Labour Party w Birmingham stanowczo odrzucił wszelką współpracę z komunistami (na lewicy) lub z liberałami (na prawicy).

***

„OGŁOSIĆ, CZY NIE OGŁOSIĆ?" — Hamletowskie to pytanie stanęło obecnie przed dyplomacją angielską i francuską w związku z rewelacjami amerykańskiej prasy Hearst'owskiej na temat t. zw. kompromisu morskiego. Rewelacje te były przyczyną wystosowania przez Waszyngton noty do Francji i Wielkiej Brytanji. w której Stany Zjednoczone, kategorycznie potępiając tajną dyplomację, oświadczają. iż nie przystąpią na przyszłość do żadnych rokowań o rozbrojenie na morzu, o ile między kontrahentami istnieć będą w tej sprawie jakieś tajne porozumienia. Nota amerykańska wywołała zrozumiałą konsternację na Downing street i na Quai d'Orsay. Stany Zjednoczone są zbyt znaczącą jednostką w stosunkach międzynarodowych, aby ktokolwiek — nawet potężna Anglja — życzył sobie jawnego ze Stanami konfliktu. Pod gradem więc wzajemnych oskarżeń o niedyskrecje, jakimi przepełnione są w ostatnich dniach większe pisma angielskie i francuskie, głowią się dyplomaci nad sposobem wybrnięcia z przykrej i trudnej sytuacji. wytworzonej przez tajny układ. Najprostszem niewątpliwie wyjściem byłoby opublikowanie szczegółów „kompromisu morskiego", ujawnienie układu, który miał ponownie złączyć Anglję i Francję węzłem „entente cordiale". Francja jednak stanowczo się ponoć temu opiera. tajny układ bowiem zawierać ma szereg klauzul, wyraźnie przeciwko Włochom wymierzonych. Podanie tych szczegółów do powszechnej wiadomości mogłoby ostatecznie pogorszyć stosunki włosko - francuskie, które od chwili zwycięstwa faszyzmu w Italji nie są najlepsze. Złośliwi twierdzą, iż naogół — po rewelacjach" prasy amerykańskiej — dyplomatom niewiele pozostało do ujawnienia. nie mniej jednak jedynem wyjściem z sytuacji ma być urzędowe zakomunikowanie waszyngtońskiemu sekretarjatowi spraw zagranicznych szczegółów „kompromisu morskiego" z tem. iż układ pozostaje nadal tajnym i okrytym urzędową tajemnicą.

***

„STRĄCANIE „BOGÓW" Z PIEDESTAŁU" staje się swoistym sportem. uprawianym przez wszelkie odłamy adherentów III-ej Międzynarodówki. Iluż to niedawnych „przywódców proletarjatu", „wybrańców ludu", i „obrońców klasy robotniczej" skazanych zostało na pewną, acz powolną śmierć w dalekiej tajdze syberyjskiej? Gdzież są ci trybuni rewolucyjni. Trocki, Souvarine, Ruth, Fischer i Bombacci? Wystarczy najdrobniejsze przewinienie wobec Moskwy, najsłabsza krytyka uchwał zjazdów komunistycznych. aby „niebłagonadiożny" wódz został „strącony z piedestału". Los ten spotkał obecnie leadera niemieckich komunistów Thälmanna, który kandydował z ramienia niemieckiej partji komunistycznej na prezydenta Rzeszy i przez odciągnięcie 2-ch miljonów głosów na lewicy w niemałym stopniu przyczynił się do zwycięstwa Hindenburga. Nagle Thälmann zostaje pozbawiony wszystkich stanowisk w partji „odwołany" celem złożenia wyjaśnień — do Moskwy. Powodem usunięcia wodza komunizmu niemieckiego miała być defraudacja, popełniona przez sekretarza komitetu hamburskiego. niejakiego Vittora. Thälmann o tej defraudacji wiedział. lecz ukrył ją przed władzami partyjnemi, czy to w obawie skandalu, któryby mógł skompromitować działaczy partyjnych w oczach mas robotniczych, czy też pragnąc ułatwić Vittorowi rehabilitację. „Prawowierni" wyznawcy nauki Lenina w Niemczech skwapliwie skorzystali z wykrycia afery Vittora. aby pozbyć się Thälmanna, który w czasach ostatnich zdradzał pociąg do „heretyckiego trockizmu". Jak i wielu innych, Thälmanna usunięto. Jedzie on z „raportem" do Moskwy.

DZIEJE DOKTRYNY MONROE'GO I POLITYKA AMERYKI W WIEKU XX

Udział Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej w wojnie światowej, z drugiej zaś strony całkowita ich abstynencja w stosunku do Ligi Narodów i jako trzeci fenomen w obecnym układzie międzynarodowym, podpisanie powszechnego paktu przeciwwojennego — stanowią charakterystyczną, nieco kapryśną napozór linję polityki zagranicznej.

W rzeczywistości jednak linja ta jest ciągła i konsekwentna, a Stany północno - amerykańskie pozostają wciąż wierne swej zasadniczej idei programowej, którą sto pięć lat temu wyraził ówczesny prezydent Unji, James Monroe.

Przystępując do wojny światowej, Ameryka wedle własnych jej słów — miała na celu obronę wolności. Ale, po skończonej rozprawie, nie uważała za możliwe przyłączyć się do traktatów, wciągających ją w obojętną już dla niej sferę spraw — europejskich. Stąd jej znana ogólnie postawa wobec Genewy. Ostatnia wreszcie manifestacja pacyfistyczna Stanów Zjednoczonych pod auspicjami pp. Brianda i Kelloga, pozbawiona momentów praktycznych i sprecyzowanych sankcyj, nie może być, w gruncie rzeczy, wiążąca tam, gdzie w grę nie będą wchodziły interesy gwiaździstego sztandaru.

Tak więc pozostało w swej nienaruszonej niemal mocy swoiste amerykańskie „dumne odosobnienie" i polityczne odseparowanie Nowego Świata od starego kontynentu, które było niezmiennem dążeniem wszystkich statystów amerykańskich od samego zarania niepodległości.

Pierwszy na tem tle konflikt z Europą wybuchł na początku XIX wieku. Powodem były sprawy Luizjany francuskiej. Węzły przyjaźni łączyły wówczas obydwie młode republiki: Stany Zjednoczone i Francję. Ale myśl o zbyt bliskiem sąsiedztwie Francuzów w ujściu rzeki Mississipi i grożących wskutek tego konsekwencjach okazała się nieznośna dla opinji amerykańskiej i w znacznym stopniu ochłodziła sympatje francuskie Jeffersona, ówczesnego prezydenta Stanów. Ameryka przez cały czas stała twardo przy swoich żądaniach, grożąc przymierzem z Anglją w razie nieodstąpienia przez Francję spornych terytorjów: Nowego Orleanu i zachodniej Florydy. Zdrowy rozum polityczny Napoleona Bonapartego, wówczas Pierwszego Konsula, uratował sytuację. Pełnomocnicy amerykańscy dobili w Paryżu targu przy pomocy wszechwładnych już wtedy dolarów. Było to w roku 1803.

W kilkanaście lat później, czasu prezydentury Monroe'go, polityka europejska przeżywała burzliwy swój okres. Po upadku Napoleona I panował tam, jak wiadomo, w całej pełni reakcyjny régime Restauracji i jego skutków. Mocarstwa Świętego Przymierza likwidowały z całą bezwzględnością wszystkie pozostałości epoki Rewolucji i bonapartyzmu. Francja, załatwiwszy swoje własne sprawy dynastyczne, intronizowała z ramienia mocarstw króla Ferdynanda VII w Hiszpanji. Dawnym kolonjom hiszpańskim w Ameryce Południowej, które za rządów Józefa Bonapartego powstały przeciwko swej metropolji, groziło niebezpieczeństwo represyj. Wówczas to Canning, kierownik polityki angielskiej i przeciwnik Świętego Przymierza, zaproponował Stanom Zjednoczonym wspólną akcję, protestującą przeciwko ewentualnej interwencji obcej w Ameryce — na rzecz Hiszpanji. Ameryka odmówiła, nie chcąc, przez związek z Anglją, mieszać się do spraw polityki europejskiej, a prezydent Unji Monroe wystosował w dniu 2 grudnia roku 1823 historyczne swe orędzie do Kongresu.

„Na początku poprzedniej sesji — brzmi tak dokument, — który podajemy w skrócie, powiedziano, że Hiszpanja i Portugalja czynią wszelkie wysiłki celem polepszenia warunków ludności południowo-amerykańskiej, a odnośne rządy będą się kierowały w swej polityce duchem wyjątkowego umiarkowania. Zbyteczne zaznaczać, iż rzeczywistość odbiegła daleko od tych nadziei.

„Co do nas, byliśmy zawsze świadomymi i zainteresowanymi widzami wydarzeń, jakie się rozgrywały w tej części świata z którą mamy tyle łączności. Obywatele Stanów Zjednoczonych żywią najbardziej przyjazne uczucia względem wolności i szczęścia ludzi mieszkających po tej stronie Atlantyku. Nie braliśmy nigdy udziału w wojnach, które Mocarstwa europejskie prowadziły między sobą w sprawach, wyłącznie je obchodzących; polityką naszą jest stanowisko to utrzymać. Tylko wtedy, kiedy nasze prawa są zlekceważone lub zagrożone, przeciwstawiamy się i czynimy przygotowania celem obrony.

„Z konieczności i dla powodów, łatwo zrozumiałych, jesteśmy bardziej złączeni ze sprawami, toczącemi się na tej półkuli. Pod tym względem system polityczny państw sprzymierzonych różni się zasadniczo od amerykańskiego. Wypływa to z różnicy, istniejącej między odnośnemi rządami. W Ameryce cały naród zdecydowany jest bronić naszych instytucyj, zdobytych za cenę tylu ofiar i stanowiących źródło naszej bezprzykładnej szczęśliwości. Dlatego też, w imię prawdy i wskutek przyjaznych stosunków, łączących Stany Zjednoczone z Mocarstwami sprzymierzonemi, winniśmy oświadczyć, że **wszelkie usiłowania rozciągnięcia ich systemu politycznego na jakąkolwiek cząstkę tego kontynentu uważamy za niebezpieczne dla pokoju i dobrobytu naszego narodu.** Nie interwenjowaliśmy nigdy w kolonjach ani w posiadłościach jakiegokolwiek mocarstwa europejskiego, lecz odnośnie do krajów, które ogłosiły swoją niepodległość i jej broniły, a któreśmy uznali naskutek przyczyn sprawiedliwych i ważkich, musielibyśmy uważać interwencję mocarstwa europejskiego, bądź to w celu ujarzmienia, bądź też jakiejś kontroli — za manifestację uczuć nieprzyjaznych wobec Stanów Zjednoczonych. Ogłosiliśmy swoją neutralność w wojnie między rządami tych państw a Hiszpanią i zachowamy tę postawę, o ile nie zajdzie żaden fakt, powodujący dla Stanów Zjednoczonych zmianę w stanie rzeczy, niezbędnym dla ich bezpieczeństwa.

Nasza polityka w stosunku do Europy, polityka, podjęta od samego początku wojen, które nią tak

długo wstrząsały, nie uległa zmianie i opiera się na tych samych podstawach: **nie interwenjować w sprawach wewnętrznych jakiegokolwiek Mocarstwa;** uważać rząd faktyczny za rząd legalny; utrzymywać z nim stosunki przyjaźni, prowadzić politykę stanowczą, szczerą i humanitarną, gotową w każdej okoliczności rozważyć słuszne pretensje każdego Mocarstwa, lecz nie cierpiącą jakiejkolwiek obelgi.

„Jest rzeczą niemożliwą, aby Mocarstwa sprzymierzone rozciągały swój system polityczny na jakąkolwiek część tego kontynentu bez niebezpieczeństwa dla naszego kraju. Nikt nie może wierzyć, że nasi bracia z Ameryki Południowej, pozostawieni sami sobie, przyjmą samorzutnie system polityczny Mocarstw sprzymierzonych. Nie możemy więc godzić się obojętnie na ich interwencję w jakiej bądź postaci. Z drugiej strony, jeśli porównamy siłę i środki Hiszpanji i tych nowych krajów i jeśli zmierzymy dzielącą je odległość, jest rzeczą oczywistą, że Hiszpanja nie może ich ujarzmić. Istotną więc polityką Stanów Zjednoczonych jest pozostawić obie strony samym sobie w nadziei, że i inne Mocarstwa utrzymają taką samą linję postępowania".

Tego testamentu politycznego Stany Zjednoczone strzegą konsekwentnie przez cały wiek XIX, stosując go w praktyce do obydwu kontynentów amerykańskich: północnego i południowego.

W roku 1865 interwenjują — tylko dyplomatycznie — bo zajęte u siebie wojną secesyjną — w konflikcie między Hiszpanją a Chile i Peru, a w rok później demonstrują już zbrojnie przeciwko wojskom francuskim, pokrywającym ekspedycję meksykańską cesarza Maksymiljana.

Po latach trzydziestu, kiedy w roku 1895 wybucha zatarg między Anglją i Venezuelą, rząd północno - amerykański znów przybiera energiczną, nieustępliwą postawę w stosunku do roszczeń brytyjskich.

Wojna hiszpańsko - amerykańska, wynikła w roku 1898, stanowi niejako punkt zwrotny w polityce Stanów Zjednoczonych. Ta akcja zbrojna, podjęta celem uwolnienia Kuby i Portorico od panowania Hiszpanów, kończy się zagarnięciem wysp Filipińskich przez wojska Waszyngtonu. Tu, przekraczając niejako ramy swej doktryny, Ameryka daje sobie sama **carte blanche** i tak czynić będzie potem, ilekroć tego wymagają jej nowe tendencje i warunki rozwojowe.

Na początku wieku XX prezydent Roosevelt oświadcza znów, że system Monroe'go opiera się na interesie narodowym amerykańskim i Stany Zjednoczone nie powinny pozwolić, aby jakiekolwiek mocarstwo zyskało wpływy na nowym kontynencie, lub rozszerzało posiadane tam już kolonje. Dotyczy to zwłaszcza krajów Ameryki Południowej, a utrwalenie pokoju na lądzie amerykańskim ma stanowić, zdaniem Roosevelta, wielki krok naprzód ku pokojowi powszechnemu.

Ta tendencja polityczna znalazła najdobitniej swój wyraz na tegorocznym, szóstym zrzędu kongresie panamerykańskim, który się odbył w Hawanie. Prezydent Coolidge otworzył osobiście obrady tego Zgromadzenia, podkreślając w ten sposób znaczenie, jakie doń przywiązuje, a przewodniczący delegacji północno-amerykańskiej, Hughes, wystąpił z obroną tezy interwencji, podanej coprawda w formie dość niejasnej i zamaskowanej.

W związku z intesywną w ostatnich czasach akcją Waszyngtonu na terenie Ameryki łacińskiej i obojętnością, jaką urzędowe sfery amerykańskie traktują Ligę Narodów, zarysowuje się coraz wyraźniej istotny separatyzm Stanów Zjednoczonych w stosunku do Europy i rosnąca ich hegemonja w zakresie spraw półkuli zachodniej.

Tadeusz Jakubowicz.

FATALNE ZANIEDBANIE W ZAKRESIE DRÓG WODNYCH

Przeżywamy obecnie okres intensywnej pracy, okres porządkowania całości naszego życia, ze specjalnem uwzględnieniem życia gospodarczego. Niejednokrotnie podnosiliśmy wartość tego wszystkiego, co dotąd zostało zrobione. W jednej wszakże dziedzinie nie posunęliśmi się naprzód wcale, owszem, raczej ulegliśmy cofnięciu. Jest to dziedzina naszej żeglugi śródlądowej — sprawa naszych dróg wodnych. Jak dawniej, tak i dziś nie zdobyliśmy się na ocenę tej sprawy ze stanowiska gospodarczego. Rzeki dla nas, to sprawa meljoracji, regulacji — wszystko — tylko nie sprawa komunikacji. A tymczasem im intensywniej rozwija się nasze życie gospodarcze, im mocniejszem tętnem postępuje produkcja, wymiana, im bardziej rośnie spożycie, tem mocniej, tem poważniej domaga się ta sprawa rozwiązania i to szybkiego.

Weźmy przykład, który nam być może najdosadniej określi doniosłość tego zagadnienia. Nasz wywóz morski rośnie i rosnąć musi, rozrost jego jest poprostu warunkiem istnienia, warunkiem niepodległości ekonomicznej. Tymczasem staje mu na przeszkodzie zupełny brak środków komunikacyjnych. Koleje nasze starczą na obsłużenie Gdańska i Gdyni przy dzisiejszej ich zdolności przeładunkowej. Dalszy rozrost Gdyni odbywać się może jedynie i wyłącznie kosztem Gdańska, gdyż koleje więcej dowieźć nie mogą, a kolej Bydgoszcz — Gdynia dopiero za lat parę będzie gotowa. Jedynem wyjściem z sytuacji byłoby wyzyskanie drogi wiślanej — ale my nic w tym kierunku nie robimy.

Zaczerpnijmy przykład skądinąd. Pomorze nasze nie jest krajem przemysłowym. Obsługiwały je fabryki niemieckie — i obsługują dotąd, bo są bliżej i dają tańszy przewóz. Przez wyzyskanie drogi wiślanej moglibyśmy koszty przewozu naszych artykułów przemysłowych na Pomorze obniżyć o 20, 30, a nieraz o 50% — ale nic w tej dziedzinie nie robimy, tracąc we własnym kraju na zdolności konkurencyjnej i rujnując własny bilans handlowy.

Z tych samych powodów naszych letników nadmorskich, nowobudujące się miasto Gdynię aprowiduje nie rolnik polski, ale Gdańsk, a niejednokrotnie Prusy Wschodnie.

I jeszcze dalej. Nasz cały handel z krajami bałtyckiemi odbywa się drogą lądową, co ogromnie odbija się na kalkulacji towarów, co sprawia, że najdroższe nawet

kraje mogą z nami doskonale konkurować — bo Wisłą nie idzie nic, albo prawie nic i do portów naszych mamy tylko drogę kolejową.

Nie będziemy mnożyć tych przykładów. Nie będziemy zastanawiać się, jak straszliwie zaniedbanie dróg wodnych w chwilach groźnych może się odbić na sile obronnej kraju, jak poprostu pewne jego części, pozbawione kolei, choć tuż nad rzeką położone, nie mogą się otrząsnąć ze śpiączki ekonomicznej, są martwe i bierne, jak cierpią przemysłowe ośrodki, pozbawione taniego dowozu artykułów spożywczych, gdyż przykłady zacytowane mówią już dość wyraźnie, że, jeżeli istotnie chcemy naprzód postępować — musimy uczynić z Wisły to, czem ona być może — potężną arterję komunikacyjną — drogę o ruchu żywym i intensywnym.

I niewolno tej sprawy odkładać do czasu uregulowania koryta rzek naszych — albowiem wymaga to olbrzymich nakładów i dziesiątków lat pracy — trzeba zastosować środki, jakie dziś są pod ręką — uporządkowanie nurtu przez pogłębianie, oraz uruchomienie odpowiedniego taboru żeglugowego. I jedno i drugie może być dokonane kosztem nawet nie dziesiątków miljonów, ale i jedno i drugie jest u nas tak zaniedbane, jak żadna inna dziedzina życia.

Dziwnym trafem sprawy żeglugi śródlądowej trafiły u nas do resortu Robót Publiczych, razem z zupełnie słusznie przydzieloną mu sprawą regulacji rzek i potoków. Nastawienie logiczne tego resortu wyklucza racjonalny stosunek do sprawy. Żegluga, eksploatacja tego, co ma być gruntownie naprawione — poprostu przeszkadza regulacji. Interesy dzisiejsze kłócą się z rzutami na daleką przyszłość, bynajmniej nie stanowiąc szczebla do nich — i rzecz oczywista zostają na ostatnim planie, są „złem koniecznem" — ze szkodą dla tego wszystkiego, co ucieka z pod kompetencji robót publicznych, to jest zagadnienia komunikacyjno-ekonomicznego.

Rok bieżący naprzykład był poprostu katastrofalny dla żeglugi śródlądowej ze względu na brak opadów. Statki chodziły naładowane zrazu w 70, potem 50, wreszcie w 30 i 20% normalej nośności — ale na nurcie Wisły nie ukazała się ani jedna draga więcej, draga, której praca wynosiłaby setki tysięcy, a oszczędziła ludności duże miljony.

Rzecz niedowiary, a jednak prawdziwa, że gdy prowadzi się z jednej strony dumpingowe transporty kolejowe, przedsiębiorstwa żeglugowe obciążone są najwyższemi podatkami. Państwowe instytucje kredytowe traktują żeglugę — jako zwykłego wekslowego dłużnika i ofiarując kredyty na gmachy dla marynarki handlowej morskiej, skąpią ich na tabor przewozowy na rzekach. Wiemy zresztą aż zanadto dobrze, iż na to ostatnie wpływa pewna osobistość, której jakby na ironję przypadła w udziale rola oficjalnego opiekuna żeglugi, osobistość, którą niebawem wypadnie nam się nieco gruntowniej zająć, ale u podstaw tego błędu leży mylne traktowanie sprawy i brak zrozumienia faktu, że komunikacja wodna, to warunek rozwoju życia gospodarczego i że powinna ona być w rękach tych resortów, które na straży tego życia gospodarczego stoją.

Zagajamy dyskusję w sprawie niezmiernie ważnej. Zagajamy ją w nadziei, że dalszy ciąg jej będzie się odbywał nie tylko na łamach prasy, ale i w sferach decydujących o naszem życiu. I mamy jedną nadzieję.

Stosunek Polski do Wisły charakteryzuje doskonale jej stolica. Spójrzmy. Oto dawna, stara Warszawa zygmuntowska — ośrodek potężnego państwa. Powstaje ona nad Wisłą. Sam Zamek królewski ku wodzie jej jest zwrócony. W miarę dekadencji państwa stolica odwraca się od swej wody. Miasto rośnie gdzieś dalej. Nad rzeką powstają jakieś fabryki, zakłady, zostają brudne dzielnice.

Polska z martwych powstała — otwiera zamkowi widok na Wisłę, buduje nad nią bulwary. Tereny cytadeli zamienia na część miasta, poczyna rozwijać stolicę ku stronie północnej, za biegiem rzeki. Mamy nadzieję, że to jest symboliczne, że w tym wypadku za odruchem stolicy — pójdzie Państwo, że niewiele czasu minie — a sprawa wyzyskania naszej arterji wodnej stanie się aktualną dla wszystkich — stanie się terenem pracy takiej, jaką dziś widzimy na morzu. A będzie to tem łatwiejsze, że jedna dwudziesta nakładów tamtych da tu efekty zupełnie namacalne w ciągu nie lat, ale kilku, a może paru miesięcy. *A. Uziembło*

DZIECI ULICY W OBOZIE LETNIM

Obóz w Wołominie, urządzony staraniem „Ligi opieki nad dzieckiem opuszczonem i zaniedbanem.

Liga zdawna nosiła się z zamiarem roztoczenia czujnej opieki nad dzieckiem zaniedbanem i opuszczonem pod względem fizycznym i moralnym. Zawsze brak środków stawał na przeszkodzie. Pomimo kilkakrotnej pomocy magistrackiej z trudem zdołano zorganizować świetlice przy szkołach powszechnych oraz przy pensji pani Paprockiej. Latem bardziej jeszcze pozbawione opieki dzieci pozostawione są samym sobie, ulicy, najgorszym wpływom i nałogom.

Więc też wiosną tego roku. Liga postanowiła zorganizować kolonje letnie dla chłopców. zakwalifikowanych przez sąd dla nieletnich, w wieku od lat 12-tu do 17-tu. czyli takich, którzy już znaleźli się w konflikcie z prawem.

Zwróciliśmy się o pomoc do społeczeństwa i różnych instytucyj, niestety okazało się, że subsydja Magistratu oraz U. W. F. i P. W. zostały rozdane. a społeczeństwo. do którego zwróciliśmy się o pomoc za pośrednictwem pism i odezw, pozostało przeważnie głuche.

Znalazła się jednak garstka ludzi, która zrozumiała potrzebę stworzenia obozu letniego dla dzieci zaniedbanych i przyszła z pomocą czy to w naturze, czy pieniędzmi. Nie powiększyło to jednak dostatecznie szczupłych środków Ligi. Zamiarem bowiem Ligi było zorganizowanie obozu na 60 dzieci, zmuszona była zredukować ilość do 24.

Kolonja mieściła się w Wołominie, blisko lasu i rzeki, dzieci spały i jadały w namiocie. dzień cały kąpały się literalnie w słońcu, gdyż namiot oraz pomocnicze ubikacje wystawione były na szcze-

skromnego mieszkania, wycięte ze starego tygodnika. „Żeńcy“, „Powrót Lohengrina“ i „Żebraczka neapolitańska“. I dziś dopiero zauważył że łabędź, wiozący Lohengrina jest potwornie brudny od kurzu, a neapolitańska żebraczka ma naprawdę dobrze oddany wyraz smutku i błagania.

— Stefan! Idziesz na rękę?

Bars pytająco popatrzył na syna. Oparł mocno łokieć o stół. „Na rękę“ — to mocowanie, próba siły rąk, to jedna z najulubieńszych rozrywek starego Barsa, poza grą w karambolkę.

— No, idziesz na rękę — zapytał Bars poraz drugi.

Stefan niechętnie przysunął krzesło na róg stołu i oparł ramię na blacie. Kiedy dłoń ojca ścisnęła jego rękę, poczuł, że i dziś ulegnie w walce, że jeszcze nie dały rezultatu potajeme ćwiczenia z hantlami i próby sił z kolegami. Postanowił mimo to zwyciężyć. Wytężył całą siłę woli i spostrzegł, że ręka ojca ustępuje powoli pod naciskiem.

Barsowa, która siedziała już przy maszynie-chlebodawczyni, obserwowała zpod oka i jakgdyby odniechcenia to spokojne napozór zmaganie, tę zabawę ojca z synem.

Stefan mylił się. Bars, spoglądający dotychczas filuternie, spoważniał nagle i rozpoczął kontratak. Zwarte ręce ojca i syna wróciły powoli do zasadniczej pozycji. A potem nieubłaganie poczęła czerwona ręka przygniatać mniejszą, zsiniałą w uścisku rękę Stefana.

Bars uśmiechał się znów.

Stefan nienawidził go w tej chwili z całej siły, za ten ironiczny uśmiech i za przewagę.

Bars bawił się. Zabawa balansowała na ostrzu miecza, na pograniczu zła i dobra.

Słabnąca ręka Stefana opadała coraz niżej na stół, Bars gniótł coraz mocniej i mówił oczami i uśmiechem:

— Widzisz, smarkaczu, to jest twoja siła. Z tą rączką chcesz się porwać na mnie...

Barsowej mówiło to spojrzenie coś innego:

— Oto twój obrońca! Patrz, jaki siłacz!

Ręka Stefana drętwiała w ostatnim wysiłku obrony. Jeszcze nie! Jeszcze dłoń wygiął do góry i nie dawał za wygraną. Ale minuta oporu osłabiła go zupełnie. Wraz z pacnięciem ręki Stefana o stół, wstał Bars triumfujący. Tak zgniótłby wszystko, coby stanęło na drodze jego spokojnego, beztroskiego życia. Jak tę rękę, leżącą na stole!

Stefan dyszał ze zmęczenia i wysiłku.

— Może pójdziesz na lewą? — zapytał ojciec ironicznym tonem litości. Bars czuł, że w tej sekundzie padło przekleństwo z oczu żony.

Stefan uśmiechnął się słabo. Widział w lustrze, że uśmiech ten to grymas ohydny i sztuczny.

Bars powziął nagle jakieś postanowienie. Splunął na podłogę i powiedział głośno:

— Zapytaj matki, czy ma drobne?

Bars nie mówił z żoną od roku, kiedy mu wypomniała jego bezczelne próżniactwo. Nie mówił inaczej jak za pośrednictwem syna. Czynił wszystko, ażeby jej dokuczyć. Chciał, żeby cierpiała przez niego, jak przed latami, kiedy go kochała. Chciał złamać jej bierny upór brutalnem postępowaniem. Nie pomogło. Chciał ją oczernić przed synem. Przejmował listy od jej matki, lub przyjaciółek, darł je po uważnem przeczytaniu i wrzucał w ogień, mrucząc: — kochanków jej się zachciewa! Mruczał tak, żeby Stefan słyszał każde słowo. Ale chłopiec wyrastał z lat, w których wszystko się bierze za dobrą monetę. Stefan zrozumiał grę ojca. I jego zdziwienie ustąpiło najpierw miejsca niechęci, a potem oburzeniu, kiedy widział, że ojciec trzyma się ciągle brudnej metody. Najwięcej go w chwilach odczytywania listów matki, bolało jej spojrzenie, mówiące: — Jesteś już dorosły, ratuj, ratuj przed nim!

Cóż mógł uczynić?

Chciał czasami zabrać głos. Rozpocząć przemówienie od głośnego krzyku oburzenia. Ale rzut oka na zaciśnięte pięści ojca napawał go lękiem o zakończenie takiej sceny. Lękał się nieszczęścia, któreby przygniotło nietylko jego, ale i matkę. Jak przez mgłę widział scenę z dawno minionych lat. Lampę ciśniętą w kąt i płomień zapalonej firanki. Ojciec we wściekłości był straszny. Więc kiedy przypomniał sobie tę scenę i oczami wyobraźni widział potworność owej walki i matkę pod ciosem czerwonej pięści, odkładał postanowienie natychmiastowej rozprawy ze starym i postanawiał zaopatrzyć się w broń. Zasypiał wtedy z marzeniem w oczach. Jak Bars pod groźbą precyzyjnego pistoletu podnosi ręce do góry i zgrzyta zębami, poskromiony i poniżony.

— Zapytaj czy ma drobne! — prawie krzyknął Bars.

Maszyna w tej chwili przestała terkotać. Barsowa odwróciła się na krześle i takim samym głosem odpowiedziała:

— Niema drobnych!

Wtedy Bars podniósł się powoli zza stołu, przytknął palcami i podszedł do maszyny. Ruchem ręki odgarnął żonę i wyciągnął podręczną szufladkę. Długo gmerał wśród kłębków bawełny, starych szpulek, kartoników z zatrzaskami i próbek materjałów i ze złowrogim triumfem wyciągnął z tej gmatwaniny 50-groszówkę. Zacisnął wargi i pokiwał znacząco głową w kierunku żony. Potem przeniósł spojrzenie na przyglądającego się tej scenie, syna:

— Stefan! Przynieś pięć ferworów, migiem!

Chłopiec, który obserwował wszystko ze wzrastającym co chwilę gniewem, zawahał się. Przez sekundę rozważał. Iść czy nie iść? Tu po tej rewizji, podczas jego nieobecności może coś zajść. Znał specyficzny wyraz twarzy ojca, nie wróżący nic dobrego. Znał ten głos, kipiący wewnętrzną wściekłością. Widział, jak z pod pozorów spokoju, wyłaził z ojca przyjaciel Pinkerta z Wolskiej.

— Stefan! Jeszcze tu jesteś? — w głosie starego Barsa zabrzmiała groźba.

Stefan wziął pieniądze i ruszył ku drzwiom. Przed wyjściem odwrócił się jeszcze i popatrzył ojcu prosto w oczy. Chciał w to spojrzenie włożyć słowo ostrzeżenia, siłę groźby i męską pewność nienawiści. Bars odparł to spojrzenie. Zbliżył się do Stefana i ujął go silnie za ramię:

— Marsz, smarkaczu! — wrzasnął i wypchnął go za drzwi.

Stefan słyszał zgrzyt zasuwanego rygla. Przyłożył ucho do drzwi. W mieszkaniu terkotała maszyna spokojnie i równomiernie. Cisza. Popędził więc przez ciemną sień i, skacząc po dwa schodki, wybiegł na jasną ulicę. Papierosy wepchnął do bocznej kieszeni i w pośpiechu powracał. Już na drugiem piętrze usłyszał zmieszany gwar głosów z góry. Tknęło go złe przeczucie. W sieni, przed ich drzwiami stali sąsiedzi. Olewska z córką i Feldbaum. Tłukli w drzwi. Przed Stefanem ustąpili w milczeniu. Za drzwiami rozległ się nagle głos Barsowej. Zagłuszył ją krzyk męża. Stefan przyłożył ucho do drzwi. Chwila ciszy. I nagle krzyk!!!

Sąsiedzi odskoczyli. Stefan naparł na drzwi. Nie ustępowały. Szarpnął klamkę. Na nic. I usłyszał głos ojca:

— Wiem, że buntujesz syna przeciwko mnie! Syna!

Stefan tłukł pięściami w drzwi:

— Kłamstwo!

— Wiem, co kombinujesz z Pestlem. Wiem o tych randkach na Żelaznej. Wiem o Saskim ogrodzie. Wiem, co opowiadasz Olewskiej!

Barsowa płakała.

Stefan błagał:

— Otwórz!

Bars wył:

— Kłamiesz i plugawisz mnie przed rodzonym synem! A ten smarkacz udaje wielkiego pana. Rękę mu zgniotłem, jak drut! Widziałaś, nie? Chcesz się przeprowadzić? Proszę! Możesz nawet iść do Pestla. Ale tu, tu jest moje mieszkanie. Na moje imię. Tu są moje meble. Tu wszystko jest moje. I ja tu wszystko potłukę...

Coś pękło z trzaskiem.

Stefan cofnął się o kilka kroków i z rozpędu wbił się w drzwi. Rygiel wyleciał, — ustąpiły.

Wbiegł do pokoju. Zawirowało mu wszystko przed oczami. Lustro przecięte pręgą rozbitego szkła i wyłatane deską, przewrócone krzesła i ziemia z rozbitego wazonu, rozsypana na podłodze. Matka leżała skurczona na kanapie. Ojciec, dysząc ciężko, stał na uboczu. Cały okropny obraz, widziany w perspektywie pokoju, znikł nagle i przed Stefanem wyrosła ściana kuchni, naszpikowana naczyniami. Wśród wszystkiego zabłysł jeden przedmiot, jak lusterko. Tasak.

Jest broń. Chwycił za rękojeść.

Bars zbliżył się:

— Spróbój, rzuć!

Stefan w szalonym rozumie zemsty wycelował w głowę ojca, nabrał rozmachu i cisnął. Błysło. „Powrót Lohengrina" pękł na połowy. Tasak utkwił od siły rzutu w ścianie. Stary błyskawicznie odwrócił się i popatrzył na rozbity obrazek. Potem podchodzić zaczął do Stefana. Obserwowali się przez sekundę. Stefan widział tylko oczy nabiegłe krwią, nacierającą pierś i ręce, straszne ręce. Bars szedł. W Stefanie zatrzęsło się wszystko z nadmiaru wzruszenia. Drżał: ojciec. Aż poczuł nagle dopływ gorącej krwi do głowy. Skoczył naprzód, naoślep z wyciągniętemi pięściami i huknął w nacierającą pierś. Pod potężnym ciosem zachwiał się stary Bars i upadł.

Więc nadszedł kres panowania. Koniec panowania silnych pięści. Bo oto silniejsze nadeszły.

Bars już nie szukał w sobie sił, by się dźwignąć na nogi i bić. Wysiłek „na ręce" był ostatni. Dziś skończyło się całe stare życie. Tasak przeciął je na dwie połowy, jak obrazek na ścianie. Całe stare życie. Tu w oczach żony...

Bars skulił się, zgarbił. Podczołgał się do stołu, podniósł się i chyłkiem, jęcząc — syn mnie zabił, syn mnie zamordował, wślizgnął się do kuchni, przymykając lekko i cicho drzwi za sobą.

W pokoju została matka i syn.

Stefan trząsł się z niepokoju i radości.

Oto wyrósł już. Obronił swoją matkę. Już przydał się na coś. Już płaci dług, zaciągnięty w długich latach cierpień...

Przypadł do matki, leżącej wciąż bez ruchu na kanapie.

— Mamo! — całował jej grube palce, pokłóte igłami i czekał na rozgrzeszające dotknięcie jej dłoni. Ręka matki nie zdjęła z niego strasznego ciężaru. Barsowa trwała w bezruchu.

Chłopiec czuł, że się w matce pod nieruchomą maską twarzy coś zmaga. W jej obliczu ujrzał strach, wstręt, niepokój i... spojrzenie za tamtym. Barsowa szepnęła, ocierając mokrą twarz rękawem:

— Coś ty zrobił? Coś ty zrobił?

Powiodła spojrzeniem po zrujnowanym pokoju. Mignął tasak. Drgnęła i odsunęła się ze wstrętem. Tasakiem chciał zabić Henryka — pomyślała. — Henryka, złego męża, ale jej męża, mężczyznę, którego zna 25 lat. Przeszło przed jej oczami całe życie. Owe pięć lat miłości. Najpiękniejsze lata jej życia. Pięć lat miłości z Henrykiem. I dwadzieścia lat katorgi nad wychowaniem Stefana. Pod tym dachem, w tych pokoikach. A teraz Henryk złamany, znikł za drzwiami. Co on tam robi, tak gorzko doświadczony przez życie? Współczuła jego nieszczęściu, bo było większe!

Stefan, wpatrzony w matkę, poczuł pustkę.

Odczytał jej myśli. Zwalił się na niego ogrom, bryłasty ogrom zbrodni... Zawirowały rzeczy obce, ponure i złe.

I jeden tylko punkt błysnął na ścianie promieniem letniego słońca:

Tasak — narzędzie zbrodni. *Adam Galis*

NA MARGINESIE

Nad czem pracują? Zdzisław Dębicki wydaje niebawem *drugi tom* swych *Portretów* oraz pracuje nad większą całością p. t. *Polacy moich czasów. Jan Parandowski* wykańcza do druku tom prozy p. t. *Ogrody Wiszące* (tom esejów) i obmyśla powieść *O Współczesnym Człowieku. Kornel Makuszyński* kończy powieść dla młodzieży p. t. *O dwóch takich, co ukradli księżyc*, oraz wydaje niebawem *Bałtyk z lotu mewy. P. Hulka-Laskowski* kończy powieść relatywistyczną p. t. *Ostatni Łotr*, wykańcza rozprawę o *Charakterystyce poezji współczesnej*, wreszcie tłomaczy z czeskiego *Vojaka Svejka. St. Miłaszewski* napisał współczesną komedję wierszem p. t. *Bal w obłokach*, *Tadeusz Ło-*

palewski wykończył dramat wierszem *Rycerz z Lamanczy* (ma wystawić w Wilnie Reduta) oraz wydaje tom nowel p. t. *Rozmowa w drodze.*

* * *

Zarys Historji Wojennej pułków Polskich wydaje stopniowo Główna Księgarnia wojskowa. Wyszły już 2-gi pułk piechoty Legjonów ,32 pułk piechoty i 85-ty pułk Strzelców Wileńskich. Historje streszczone pułków zawierają się w trzydziestu kilku stronicach dużej ósemki. Pisane są jasną dobrą polszczyzną, utrzymaną w tonie przedmiotowego rzeczowego wykładu. Każdą z tych historyj pułkowych kończy lista poległych i zmarłych z ran oficerów i żołnierzy.

Wydawnictwo ze wszechmiar pożyteczne, przystępne, potrzebne w bibljotece każdego pułku, zakładu wojskowego, każdej szkoły średniej, potrzebne w każdej bibljotece miejskiej i gminnej. Historja pułków polskich, to historja wszystkich ziem i miast polskich, które synów swych powierzyły tym dzielnym świetnym pułkom.

* * *

Z ulicy Mokotowskiej, zdaje się nawet, że z kamienicy, w której urzęduje PAT, wyjechał parę dni temu koło godziny dziesiątej rano samochodami, w otoczeniu niezliczonej gawiedzi — ideał, który dawno już zbłądził pod strzechy, — mianowicie cały, żywy Pan Tadeusz.

Stolnik, podkomorzy, Rejent, Asesor, Telimena, Zosia, Hrabia, Gerwazy i Protazy chodzili tam i napowrót po trotuarze, wzdłuż długiego rzędu samochodów. Czekali jeszcze na kogoś, jak dowiedziałem się — na swego reżysera. Jechali bowiem kręcić poloneza, względnie dalszy ciąg poloneza, — pod Warszawę.

Ideał sięgnął bruku! Chociaż żyjemy w Polsce niepodległej, wywalczonej, wypracowanej pracą wszystkich obywateli, to jednak, czasem wygląda to na jakiś sen nieprawdopodobny!

Reżyser wybiegł z bramy, samochody furknęły i cały Pan Tadeusz znikł wgłębi placu Zbawiciela.

* * *

W ubiegłym tygodniu odbyło się u dyr. teatrów miejskich p. A. Śliwińskiego zebranie poetów, pisarzy i muzyków, poświęcone rozważaniom i obradom na temat polskiego libretta operowego. Po rzeczowej dyskusji strony, t. j. muzycy i pisarze doszli do przekonania, że najbardziej celowem byłoby ogłoszenie wielkiego konkursu na libretto operowe w ścisłym sensie dramatycznego libretta, oraz utworu poetyckiego, w którym poezja traktowana byłaby na równi z muzyką.

Warunki tego konkursu musieliby ustalić łącznie poeci, muzycy, oraz autorzy ze Związku Autorów Dramatycznych.

* * *

W listopadzie ukaże się w Wilnie księga pamiątkowa, bogato ilustrowana, mająca zobrazować dzieje Wilna w ostatniem dziesięcioleciu i prace dokonane na tym terenie w okresie wskrzeszonej niepodległości. W księdze tej znajdą się utwory najwybitniejszych piór miejscowych, a z Wilnem związanych. W komitecie redakcyjnym zasiadają: F. Ruszczyc, Cz. Jankowski, W. Piotrowicz oraz T. Łopalewski.

* * *

KONKURS LITERACKI ROJU. Pragnąc przyczynić się do uczczenia dziesięciolecia odzyskania niepodległości, w poszukiwaniu tematów, któreby nasze dzieje uplastyczniły i zbliżyły oczom współczesnych, redakcja „Roju“ ogłasza konkurs na napisanie tomiku dla cyklu obyczajowego polskiego „bibljoteczki historyczno-geograficznej“.

Temat musi być potraktowany po literacku, bardzo żywo (obrazy, djalogi, żywe tytuły rozdziałów), ale nie może podawać faktów zmyślonych; powinien zawierać jednolitość narracji.

Skład jury stanowią: Piotr Choynowski, Juljusz Kaden-Bandrowski, profesor Wacław Tokarz, Wacław Sieroszewski, Melchjor Wańkowicz.

Nagrody wynoszą: 1-a — 1.000 zł., 2-ga — 500 zł. i dwie po 250 zł.

Niezależnie od nagród wypłacone będzie zwykle honorarjum. Redakcja zastrzega sobie nabycie według norm tego honorarjum prac nienagrodzonych.

Termin nadsyłania prac — 1 marzec 1929 r.

Prace muszą być przepisane na maszynie i opatrzone godłem. Takimże godłem powinna być opatrzona koperta, zawierająca nazwisko i adres autora.

Po wszystkie informacje zwracać się należy pod adresem: Towarzystwo Wydawnicze „Rój“, Warszawa, Kredytowa 1.

W naszych warunkach przy obrotności polskich wydawców, wobec tego stoickiego spokoju, z jakim pp. wydawcy nasi pogrążeni w zakamieniałej rutynie nie podtrzymali nawet ustanowionej przez siebie samych „literackiej nagrody wydawców“, inicjatywa „Roju“ wzbudzić musi najżywszy poklask.

Młoda firma ogłasza konkurs nader pożyteczny, jak wnosić można z warunków — na historyczno-obyczajowy cykl polski. Wydaje na to 2.000 zł.

Pomyśleć, że nasi wydawcy skasowali swą nagrodę literacką, mimo, iż wypadało po trzydzieści kilka złotych — na firmę!

jkb.

O FILUTERNEJ MAŁOŚCI DOKTORA FILUTA

Książka Tadeusza Ulanowskiego, mimo wszelkich wad konstrukcyjnych, zasługuje na to, by ją poważniej traktować niż zbiór feljetonowo-kapryśnych uogólnień i subjektywnych przekomarzań się ze współczesnością. Książka Ulanowskiego w intencji swojej jest zamierzeniem na dużą skalę. Być może. Między tem zamierzeniem wyczuwanem, a jego realizacją zachodzi często wielka rozbieżność. Panu Ulanowskiemu przedewszystkiem brakuje talentu kompozytorskiego.

Rozlewna i wylewna, sięgająca pół tysiąca stronic, opowieść — to rzeka pozostawiona całkowicie samej sobie. Płynie sobie, jak Bóg chce. Autor jest raczej bezbronnym świadkiem, niż świadomym organizatorem przeżyciowego tworzywa.

We wstępie, broniąc swego bohatera, autor przyznaje otwarcie, że ten „śniący o władzy“ Doktór Filut „nie umiałby sprawować jej w najmniejszem miasteczku po-

wiatowem". Coś chyba podobnego dałoby się powiedzieć i o samym autorze, choć może w nieco mniejszym zakresie (tej nieudolności).

Bo przecież i Tadeusz Ulanowski, „śniący" o... arystofanesowem ujęciu tragi-farsy współczesności polskiej, nie umiał się zdobyć na kilka nowel, i dlatego to stworzył potwornie niekształtną pseudopowieść.

Przeszkodą doktora Filuta i Tadeusza Ulanowskiego jest ta sama nieumiejętność samoograniczania się.

Gdyby rządzenie polegało tylko na konferencjach z poddanymi — niezwykle inteligentny no i elokwentny Doktór Filut, byłby miał kwalifikacje na starostę.

Ale, jak wiemy, jest inaczej. Władza rządzenia najczęściej polega na tajemnicy milczenia, wyczekiwania, tudzież na zdobywaniu, epickiego (powiedziałbym literacko) dystansu w stosunku do tego zbioru ludzkiego, który ma być rządzonym.

Podobnie, gdyby jedynym walorem dla powieściopisarza, była zdolność obserwacji, nerwowa chwytliwość charakterystycznych drobiazgów życia — niezwykle spostrzegawczy Ulanowski, stworzyłby taką powieść o współczesności na jaką czekamy wszyscy. Nie stało się to jednak. Sama chłonność Ulanowskiego nie wystarczyła, bo wystarczyć nie mogła. Zabrakło „formy" dla istniejącej „materji" przeżyciowej. I dobry powieściopisarz posiadać musi wiele cech organizatora, wiele zdolności rządzenia (sobą i innymi).

Poruszyłem tu sprawę formalną (w filozoficznem znaczeniu słowa) mając na względzie coś więcej niż ocenę literacką. Potrzebna mi była, jako podstawa dla ideowego sporu z ciekawym autorem. Sporu, o którym sam autor mówi, że chce by trwał między nim, a czytelnikiem.

Spór nasz nie będzie się tyczyć „wyimaginowanej postaci naczelnej, Wielkiego Człowieka, co jest moralną odskocznią zarówno dla wszystkich doktora „Filuta", jak też, wierzymy i poczynań literackich samego autora".

Przedmiotem sporu będzie właśnie ów „mały człowiek" pośrednio ideowa koncepcja małości Ulanowskiego.

Różnie można patrzeć na małych ludzi, a zwłaszcza na własną małość. Nie tylko wielki wielkiemu nierówny, ale i małych bywają różne rodzaje, gatunki, kategorje. O pewnych ludziach małych mówiła nam Ewangelja. Ci mali są... „ubodzy duchem, cisi, pokornego serca". Tym właśnie małym przyobiecano Królestwo Boże. Wiek XIX, wiek „czcicieli potęgi", specjalnie silnie pogardzał taką małością. Był przecież wiekiem indywidualizmu, nitscheanizmu. Wie o tem Tadeusz Ulanowski, zaczyna od ironji na temat dawnych czasów przedwojennych.

Ma się rozumieć i wówczas istniał kult wielkości. Dumni zawsze są skłonniejsi do tych ludzkich czysto kultów, niż pokorni, którym małość nie przeszkadza w niezależnem życiu. Mali duchem sprawiedliwie oceniają wielkość, nie schlebiając jej, i... nie chowając się w orbicie cienia.

Niegdyś jeden z najgłębszych wielbicieli romantyzmu „filozof milczenia" Norwid boleśnie się gorszył kultem panującym w otoczeniu Mickiewicza.

Użalał się w listach na to, że w Polsce najczęściej się bałwochwalczo przecenia (zamiast oceniać) i bezgranicznie posponuje. Norwid wskazał zarazem przyczynę tego zjawiska. Wyjaśniając, że zarówno bałwochwalenie, jak i posponowanie — nie wymaga pracy, nie wymaga dorastania do oceny Wielkości.

Ci bałwochwalący, dziś już wiemy, przyczynili się do pomniejszenia Mickiewicza. Na miejsce prawdziwego Mickiewicza, stworzyli mit o nim. Tylko Bóg stwarzał człowieka „na obraz i podobieństwo" własne. Ludzie bogów stwarzają świętokradczo, bo nadają im własne cechy, no i własne przywary.

Los dał nam znowu Wielkiego Człowieka. Nie zawadzi więc zawczasu przypomnieć norwidowskie zastrzeżenia. Na miły Bóg, nie pomniejszajmy go „dewocyjnym" mitem.

Teraz powracam do spraw tyczących się ludzi małych.

Mali „pokornego serca" naśladują Największego, ale go nie zastępują, nie reprezentują (na własną odpowiedzialność), nie obnoszą na pokaz innym.

Naśladować — to czynić swoje czyny Jego metodą, a nie przenosić bez reszty, czynów Tamtego do własnych niepomiernie zwężonych zakresów możliwości. I dlatego mali, są płodni, a ci, co chcą być „jako Bogowie", rzadko wykraczają poza świat fikcyjnych pseudo-czynów.

A teraz stosunek małych do swych bliźnich, też małych.

Wielbiciele - bałwochwalcy Mickiewicza, w stosunku do antagonistów Mistrza, odznaczali się bezceremonjalną pychą. Wiemy, jak drażniący był ich stosunek do Słowackiego. Działo się to poprostu dlatego, że sobie uzurpowali prawo do mickiewiczowskiego tonu. Zapominali że... quod licet Jovi...

Doktór Filut stanowczo jest za... odważny. Za łatwo zwycięża. Za często, mówiąc jego własnemi słowami „czuje się, jak atleta, któremu kazano (kto kazał?) przewrócić na ziemię siedzące dwuletnie dziecko".

Pamiętam dobrze o przedwstępnej przestrodze autora, który „prosi o niesprawdzanie rzekomych wydarzeń, które nigdy miejsca nie miały, lecz o odszukanie we własnej wyobraźni przeżyć i o ich skontrolowanie".

Właśnie dlatego, że starałem się o odszukanie we własnej wyobraźni, odpowiedników tych możliwych starć o Tego, którego wspólnie z doktorem Filutem nauczyłem się podziwiać i szanować — musiałem ten spór z autorem rozpocząć.

W życiu realnem nie obronimy się filuterją. Filuterją nie zdołamy nikogo przekonać, nikogo zjednać dla jakiejkolwiek idei. Idee nie znoszą filuterji. Filuterja — to najgłówniejszy punkt naszego sporu.

Sprawy o które potrąca (czy o które potrąca się) wszędobylski doktór Filut, należą przeważnie do rzędu spraw ciężkich, drażliwych i drażniących.

Nie łudźmy się. Ten Wielki On (o różnych nazwach w Doktorze-Filucie, czasem napoły mistycznych), wszystkich tych spraw nie załatwi. Jest i on tylko człowiekiem. Żadnemu Konradowi Bóg nie da władzy rządzenia „zawsze i tajemnie". Sugestja siły, czy sugestja bata, nie wystarcza. Potrzebna jest pomoc nasza, pomoc ludzi małych. Przed każdym z nas, szeregowym leży ugór realnej pracy przetwórczej. Musimy Jemu pomagać myślą. Słowem i uczynkiem sumiennie, odgarniając ile się da zasypujący nas i Jego piach i żwir podczłowieczeństwa.

Spieram się z autorem, bo się obawiam, że nam Doktór Filut nie wiele pomoże. Nie umie on zaskarbiać zaufania u przeciwników. Bardzo często idee Wielkiego

Człowieka zaprzepaszcza w powodzi krasomówczych efektów. Zapomina, ten wielbiący, że kardynalną zaletą Tamtego, jest... milczenie.

A przecież przy zetknięciu się z tragicznie chwiejącym się Manatkiem, tym z życia, a nie sielanki fikcyjnej, jak to wykazał twórca jego sobowtóra prawie Czarusia— Stefan Żeromski, potrzeba wiele hartu, wiele wiary.

W życiu nie pomogą proziomkowe argumenty. Filuterja w życiu — najczęściej jest bezbronną. Bo filuterja to właśnie nieprawdziwa, niepokorna, bo zbyt głośna — małość. Dr. Filut jest kompromisowcem duchowym. Chce w sobie zbyt łatwo pogodzić nadzwyczajną ambicję, odgrywanie dziejowej roli „mimowolnego inspiratora", z leniwą biernością rzekomo ślepego wyznawcy Wielkiego Człowieka.

Tacy, jak doktór Filut w życiu do żadnej ciężkiej sprawy nie wniosą ulgi objektywizmu; żadnej drażliwości nie pomniejszą taktem przemilczenia, będą tylko rozdrażniać już rozdrażnionych. I w życiu, gdy się narażą komuś, będą próbować bezkarnie się chować za plecy Tamtego.

Bądźmy sprawiedliwi. Filuterja nie wyczerpuje psychiki doktora Filuta. Umie się i on jej wyzbywać czasami. Wtedy właśnie, gdy prawdziwa i istotna miłość dla Wielkiego nakazuje mu zapomnieć o kokieterji swej małości.

Nie równa jest wartość poszczególnych rozdziałów książki. Są rzeczy słabe i pod względem artystycznym i pod względem moralnym (zazwyczaj idzie to w parze). Przykrą, dysonansową, jest scena w Sądzie, gdzie doktór Filut zazdrości sławy Mafjanowi, lub zakończenie Spotkania. Nie zmienia to postaci rzeczy, że autor chyba umyślnie tutaj kompromituje swego bohatera. Czy znowu to małosubtelne obnoszenie się z Wielkim Człowiekiem, w buduarze.

Wystarczyłyby jednak tylko takie rozdziały jak „Spotkanie", „Nocna narada", „Ryksa", „U szewca", żeby o Ulanowskim mówić, jako o głębokim znawcy życia współczesnego, którego stać na niebanalne syntetyczne ujęcia.

Rzecz znamienna, przeważnie w tych scenach udanych występuje właśnie sam bohater główny, który dość bezceremonjalnie daje poznać Filutowi, że nie lubi, by mu ktoś przeszkadzał, choćby dopowiadaniem.

R. M. Blüth.

KRWIĄ I ORĘŻEM*)

Dzieje Ukrainy od wielu wieków krwią i orężem były pisane. Nigdzie chyba jak tam, na żyznych polach ukrainnych, na szerokich bujnych stepach — tyle nie wyrosło kurhanów mogilnych, tyle kości ludzkich matkaziemia nie pochłonęła, tyle kopyt końskich nie tratowało ludzkiej pracy i wysiłku twórczego. Jak daleko w głąb dziejów sięgnie człowiek pamięcią pisaną, ilekroć z kart historji zechce czerpać rodowodu swego początek, ilekroć nad ukrainną, wschodnią rubieżą Polski się zamyśli — tylekroć stamtąd gorzka skarga wojny, moru i pożogi go dojdzie, tylekroć jęk zbolałej ziemi stamtąd idący, posłyszy.

Krwią i żelazem pisane są karty Ukrainy, krwią spływały ostatnie, w naszych oczach mijające, lata.

Nic też dziwnego, że „dumka" ukraińska tak często w liryce polskiej smętny swój dźwięk wydaje, nic dziwnego, że dramat, powieść i wiersz poetycki tak często za tło różnorakie, tamte, dalekie biorą strony, nic dziwnego, że z dawnych, ogromnych Rzeczpospolitej kresów ani litewskie, ani białoruskie, ani poleskie, czy wołyńskie strony nie doczekały się tylu i tak różnorodnych zainteresowań.

I dzisiaj, gdy przez wszystkie nieomal ziemie polskie czy dawniej do Polski należące — burza dziejowa straszliwe swe przeorała szlaki, gdy coraz więcej wspomnień, zapisanych kart, drukowanych słów o wojnie minionej, o wojnie okropnej ze zgrozą nam mówi — z ukrainnych pól najwięcej tych wspomnień posiada dziś literatura polska.

Pierwsza Kossak-Szczucka w swej „Pożodze" oświetliła czas burzy rewolucyjnej, przewalającej się przez Ukrainę. Uczyniła to, aczkolwiek językiem pięknym, w sposób wybitnie jednostronny, naświetlając jedną tylko stronę tamtejszego życia. Druga, o ileż piękniej i szerzej pisała o Ukrainie Dorożyńska w swej „Ostatniej placówce", wreszcie w „Burzy od wschodu" i w rozpoczętym „Rokiem 1917-ym" cyklu o „Przeoranych szlakach" — pisze o tamtych stronach Marja Dunin-Kozicka.

— Świadek rewolucyjnej grozy, przewalającej się przez Rosję, świadek naoczny, zwłaszcza Polak — wiele ma trudności do pokonania, by się zwycięsko przedrzeć przez próbę opisania tych ponurych dla tamtejszych mieszkańców czasów i chwil. Przeczy to pozorowi, gdyż zdawałoby się, iż nic łatwiejszego pod słońcem jak opisać to co się widziało na własne oczy, to co się słyszało i to — a to jest najważniejsze — co się wówczas czuło, na co się tętnem serca i duszą swą reagowało.

Trudności są jednak wielkie, przeszkody niemałe, niekażdy potrafi je przełamać. Bowiem opisać krzywdę jakiej się podlegało, pokazać zgliszcza polskich na Ukrainie dworów, przewędrować przez ruiny wielowiekowej na kresach pracy polskiej — łamiąc ręce, złorzecząc los, nienawidząc sprawców i wszystkie zjawiska do wspólnego mianownika wielkiej kradzieży i zdziczałych instynktów „zbója hajdamackiego" sprowadzić — nie jest rzeczą trudną ni rzadko spotykaną. Lecz przeciwnie — pokazawszy to wszystko, całą tragedję polskiej na Ukrainie klęski bolesnem słowem opisując, dom rodzinny porzucając, z wyzutej roli na tułaczkę ruszywszy — wznieść się ponad li tylko egoistyczny punkt widzenia, ponad żal za straconym dobytkiem, za niemałym nieraz dobrobytem i szukać głębszych, istotniejszych przyczyn wielkich a krwawych przemian, mądre nań zwróciwszy oko i czułą, ludzkąc dłoń przykładając do wzburzonego serca bliźniego — oto trudność niemała, oto zwycięskie przedarcie się przez codzienną i tak powszednią małostkowość.

Tego zwycięskiego czynu dokonała Marja Dunin-Kozicka. Piękny język jej dwu książek: „Burzy od wschodu" i „Roku 1917" teraz świeżo wydanego, maluje te same obrazy chłopskiej rewolucji i niszczenia polskiego dobytku na Ukrainie jak to czyni Kossak-Szczucka w „Pożodze". Ale ponad ów piękny język, ponad z wielką plastyką i siłą dramatyczności przedstawiane wypad-

*) Marja Dunin - Kozicka. Rok 1917. Z cyklu „Przeorane szlaki". Wydawnictwo zakładu narodowego im. Ossolińskich. Lwów 1928.

ki — na pierwszy plan w twórczości Dunin-Kozickiej wysuwa się ów, już nietylko czysto ludzki, ale istotnie głęboki i pełen mądrości rzut oka na tło społeczne i narodowe rozgrywanych wypadków.

Ukraiński chłop w książce Dunin-Kozickiej, to nie pogardzony i nienawidzony „had", to nie wyzuty z ludzkich uczuć zwierz — lecz przedewszystkiem bliźni, który błądzi, człowiek chory, którego leczyć należy, któremu wybaczyć trzeba, bowiem „sami bez win nie jesteśmy".

Z tego, umiejącego się wznieść ponad płaski szowinizm i nacjonalizm, ujęcia zagadnienia — wypływa u Dunin-Kozickiej nakaz imperatywny, konieczna, sercem i rozumem dyktowana, potrzeba: porozumienia i współpracy z narodem ukraińskim. Zdaje sobie autorka sprawę z owego olbrzymiego faktu rozbudzenia się narodowej samowiedzy ukraińskiej, widzi tego odrodzenia głębokie i żyzne pokłady, niezaprzeczoną ma ku niemu sympatję i dlatego woła wielkim głosem o konieczność, nie zwalczania i lekceważenia tego faktu — lecz zwrócenia doń polskiej, pomocnej dłoni.

Skoro tak ujęta została ideologja „Roku 1917-go"— nic dziwnego, że i forma pracy Dunin-Kozickiej musiała uderzyć w zgodny rytm wraz z treścią. Stąd „Rok 1917" jest pracą, w której akcja powieściowa na drugim planie została postawiona. Rożański, właściciel Szamrajówki— to jeden z tych podpatrzonych, na własne oczy oglądanych sąsiadów p. Dunin-Kozickiej, rzuconych na tło rozgrywających się wypadków rewolucyjnych. Te zaś wypadki burzliwe i niespokojne, pełne oparów krwi płynące dnie — są tylko silniejszemi refleksami, rysunkiem występującym jaskrawiej na tle zasadniczym „Roku 1917-go", na tle przedstawienia w historycznym przebiegu stosunków społecznych, kulturalnych i narodowych polsko-ukraińskich, rozwijających się nie od dzisiaj na południowo-wschodnich kresach starej Rzeczypospolitej.

Z tych tedy powodów, aż nadto zrozumiałą jest intencja Dunin-Kozickiej i jej z głębi serca wydarte pragnienie: „O, gdyby te iskry bohaterstwa lat dawnych i przedwczorajszej, krwawej doby, jakiemi przetkana ta książka, mogły rozpalić ogień niegasnącego, trwałego zapału — gdyby to hasło zjednoczyć nas miało i wydać na wszystkich ziemiach zjednoczonej Polski zbiorową myśl przetworzenia rychło nieoświeconych warstw na ceniących swe prawa, znających obowiązki — obywateli kraju, — jakże wówczas pięknemi, jak pod nowy zasiew bogatemi — stałyby się owe *przeorane szlaki polskości* — nie! bierzmy szerzej — szlaki ludzkości!"

Na szlaku ludzkości, dwa narody tak sobie bliskie przez tyle wieków prędzej czy później spotkać się muszą w zgodnie idącym kroku. *Wacław Lipiński.*

NAD KSIĄŻKĄ

Jan Kasprowicz: „Kniga smiriennych". Przekład z polskiego i wstęp K. D. Balmonta. Wydawnictwo „Dobro". Warszawa. 1928.

Nakładem księgarni „Dobro" w Warszawie ukazał się rosyjski przekład „Księgi ubogich" Kasprowicza. Przekładu dokonał znakomity poeta rosyjski Konstanty Balmont. Przyznać trzeba, że nowa szata językowa, w jaką został przyobleczony duch Kasprowicza w swej przedśmiertnej, uniwersalistycznej modlitwie, godna jest ducha poety. Natchniona prostota „Księgi ubogich", w jakiej wyraził się ogrom metafizycznych tęsknot poety nie zatarła się w przekładzie rzetelnym i wiernym. Poezja Kasprowicza zachowała i w obcym języku swe piękno i swą siłę.

Zdaje się, że nikt nie był bardziej powołany dla dokonania trudnego dzieła przekładu, niż Konstanty Balmont, poeta, rozumiejący w całej doniosłości ważkość słowa, obdarzony przytem wielką wrażliwością, bez której o zbliżeniu się do artystycznego tworu nie może być mowy. Niewątpliwie do pełniejszego odczucia i zrozumienia twórczości Kasprowicza przyczyniła się głęboka przyjaźń, jaka łączyła obydwu poetów. Wielki pietyzm Balmonta dla polskiego twórcy wyraził się najlepiej a artystycznym czynie samego przekładu, wypowiedział go jednakże Balmont i słowami w pięknym wstępie, charakteryzując twórczość naszego poety. Z wstępu tego przytaczamy dwa urywki:

„Ostatnia z jego książek „Mój świat" i poprzedzająca ją „Księga ubogich" wydaje mi się najwyższym szczytem jego twórczości. Tutaj, do końca szarpiący się, lecz także i ukojony jego tytaniczny duch, znalazł swój poetycki wyraz największej prostoty i czystości. Tak proste w złożoności swojej bywają tylko kryształy, liście drzew i smugi długo świętujących na niebie byt swój — zórz wieczornych".

„Wypuszczając w świat swój przekład „Księgi ubogich", z którą przez długi czas żyłem duchowo nierozłącznie, i z której czerpałem dla siebie osłodę ukojenia i nową dumę i nową energję do nowych — choćby małych — czynów życia, chciałbym powtórzyć swoje słowa, które wypowiedziałem, gdy dwa lata temu otrzymałem bolesną wiadomość, że wielki poeta polski opuścił ziemię na zawsze, choć zawsze żyć będzie w swym rodzinnym kraju: „Na ostatniej stronicy swej błogosławionej książki, Jan Kasprowicz mówi, że przez most jego nie przejdą tłumy, lecz być może na stronie tej spojrzy na niego chociaż jedna dusza. Oto ona i patrzy. I przyjdzie czas, że po moście tym przejdą również i tłumy. W dzień powstania z martwych, w Zmartwychwstanie zamknęły się oczy tego, który zasnął. Wielkie Zmartwychwstanie zwiastuje nam, Rosjanom, nasz wielki Polski Brat".

ODPOWIEDZI GŁOSU PRAWDY LITERACKIEGO

Wiersz p. t. Wokulski drukowany w jednym z poprzednich numerów dodatku Gł. Prawdy podpisano błędnie „Łaz." zamiast Łazowertówna.

Skrzynka pocztowa 58, Częstochowa: Artykuł Pana drukowaliśmy w początkach września. Czekamy zapowiedzianych prac. Nie kierują nami żadne względy postronne, prosimy o zapowiedziane artykuły, — prawdy, choćby gorzkiej, nie obawiamy się wcale.

REDAKTOR I WYDAWCA: *WOJCIECH STPICZYŃSKI*

Drukarnia „Literacka", N.-Świat 22. **Przesyłka pocz. opłacona ryczałtem.**